

# „PIGMALION”

„Pigmalion” jest sztuką efektowną. Lubią ją teatry, lubi publiczność. I aktorzy. Są tam dobre role do grania. Lepsze, niż w innych sztukach Shawa, dla którego ważny był zawsze przede wszystkim tekst, a nie role. W „Pigmalionie” jest materiał przynajmniej na pięć dobrych postaci. Jest je z czego budować. Ale też wymagają dobrego, wytrawnego aktorstwa.

W pokazanym premierowym przedstawieniu Teatr Ziemi Mazowieckiej miał aktorów tylko do trzech postaci: Elizy, Henryka Higginsa i Pani Higgins. Może jeszcze pani Pearse (Stefania Iwińska).

Najlepsza jest Maria Pabisz w diabelnie trudnej — zwłaszcza w pierwszym akcie — roli panny Doolittle. Trudnej z wielu powodów. Przede wszystkim językowym. Stary przekład (a innego nie ma, są tylko adaptacje) Floriana Sobieniewskiego nie daje dobrego materiału Elizie, tłumacz nie umiał się zdecydować na jakąś określoną, jednorodną gwarę miejską, która by stanowiła odpowiednik oryginału Shawowskiego. Maria Pabisz niechętnie z tym sobie poradziła, chociaż i w jej tekście są zmieszane elementy różnych gwar czy żargonów. Ale dobrze jest podane. Pomógł tu jej niewąt-

pliwie tak wytrawny reżyser, jak Wanda Wróblewska, a opaje się też ręką kierownika literackiego Krystyny Berwińskiej.

Tekst sztuki jest na scenie mocno okrojony. Również tekst Elizy. Do budowania pełnej postaci trochę zabrakło więc materiału, Eliza przekształca się niemal z minuty na minutę z „kapuścianego głaba” w dobrze ułożoną, i co ważniejsze: myślącą i czującą dziewczynę. Tą przemianę aktorka umiała oddać prawdziwie. Nie dość wyraziście natomiast przekazuje widowni rodzaje się w niej uczucie do Higginsa, nie ma między nimi tego intymnego, nieświadomolęgo kontaktu, który przecież warunkuje pomyślny finał sztuki.

Kreśląc, teatr pozostawił jednak pewne sceny, rzadko grywane, jak np. cała scena w łazience o klimacie raczej farsowym. Zabrakło natomiast scen edukacji Elizy, scen Elizy z Fredem, całej sceny przyjęcia w ambasadzie. Można jednak grać „Pigmaliiona” i z tymi skreśleniami. Tyle tylko, że postać Freda właściwie staje się wtedy zbędna (a w sztuce jest ważna: zażdrość Higginsa, zdobycie wiary we władzę sily i możliwości u Elizy), Ryszard Nawrocki niewiele miał tu do roboty.

Sympatycznie gra Higginsa Jarema Drwęski — jest w miarę porywczy, bezradny, chłopięcy, agresywny, opętany swą fonetyką. A jeśli jest Eliza i jest Higgins to już może być dobre przedstawienie. Ale jest jeszcze Pani Higgins Henryki Jędrzejewskiej: pełna wewnętrznej pogody, serdecznej wyrozumiałości, mądra, miła, dyskretnie ironiczna. Najlepsza w przedstawieniu.

Szkoda, że zabrakło aktora do roli starego Doolittle'a. Rola kapitalna, jest co grać. Ale ważna i dla przekornej idei sztuki; Doolittle, to watek równoległy do wątku Elizy: cena „awansu społecznego”. Fabian Kiebicz każdym wejściem, każdym odezwanieniem się buduje ciągle postać od początku, nie może na nie się zdecydować. Wzmocniłaby też rangę przedstawienia mocniejsza obsada Pickeringa. Wygląda nieco operetkowo a postać prowadzi nierówno.

Całość jest jednak do przyjęcia. A cienka warstewka farsowości na komedii — w obiedzie podobno jest niezbędna.

G. S. Shaw — „Pigmalion”. (Nawziska tłumacza w programie nie podaje się — dlaczego?). Premiera w Teatrze Ziemi Mazowieckiej. Reżyseria W. Wróblewska, scenografia Teresa Darocha.